

Jest taki plakat, który bardzo lubię. Przedstawia wysokie, ośnieżone szczyty gór. Wielkie wyzwanie dla człowieka, prawda? Każdy z nas marzy o pokonaniu czegoś, o doko-

naniu rzeczy niezwykłych. Ja też mam swoje marzenia. I całe życie dążę do tego, aby niemożliwe zamienić w możliwe - mówi prof. Stanisław Konturek.

UCZONY Z FANTAZJĄ

ODKRYWCA ODKRYWCY

Porocze słowa! – tak wykrzyknęłam, gdy media ujawniły nazwiska laureatów Nagrody Nobla z dziedziny medycyny. – O jakim proroctwie mówisz? – ze zdziwieniem spytała szefowa polskiej sekcji Radia SBS, Anna Sadurska. Tak się bowiem złożyło, że w dniu światowego tryumfu Australijczyków, we wrześniu 2005 roku, akurat byłam w Sydney, gościłam w tamtejszej publicznej rozgłośni.

– O przepowiedni profesora Konturka. Z Krakowa. On już dawno temu mówił, że Marshallowi i Warrenowi zostanie kiedyś przyznana Nagroda Nobla. Znał bowiem badania tych lekarzy skierowane na *Helicobacter pylori*. Sam z czasem zaangażował się w bliższe poznanie działania tej bakterii. Na dodatek był pierwszym w Polsce medykiem, który miał odwagę publicznie głosić, że nie tyle stres, palenie tytoniu czy nadużywanie alkoholu, co właśnie *Helicobacter* czyni systematycznie spustoszenia w żołądku i dwunastnicy; wrzody – podpowiadał lekarzom – trzeba usuwać z pomocą soli bizmutowych i antybiotyków, a nie skalpela...

– ... powiesz „na żywo” o tym polskim akcencie w australijskim sukcesie na antenie? Zaraz będziemy emitować program o Barrym Marshalu i Robinie Warrenie. Propozycja mnie zaskoczyła. W pamięci zaczęłam odtwarzać swoje rozmowy z wybitnym fizjologiem, którego dorobek naukowy liczy ponad 900 publikacji, a liczba tzw. cytowań w czasopiśmie o najwyższym standardzie naukowym przekracza 16 tysięcy! W myśli przebiegałam też dziennikarskie teksty pu blikowane w prasie, które były efektem tych rozmów. Stanisław Konturek swoimi wypowiedziami, powoływaniem się na australijskich uczonych – nie ukrywam – mocno bulwersowałam! Sugestie co do zmiany sposobów leczenia wrzodów budziły zdziwienie, często sprzeciw. Mało kto przecież kilkanaście lat temu chciał wsłuchiwać się w „opowieści” o jakiejś inteligentnej i chytrej z natury bakterii, która niczym śruba przedziera się poprzez warstwę śluzu i zaczepia na powierzchni komórek śluzówki żołądka, zagnieżdża tam i korzystając ze sprzyjającego mikroklimatu, tj. niskiej prężności tlenu (bakteria jest beztlenowa) oraz wysokiej prężności dwutlenku węgla wywołuje stan zapalny, doprowadza do patologii itd., itd. Profesor jednak nie zrażał się krytyką. Był pewien, że nowy sposób patrzenia na choroby żołądka – a nad tym właśnie od lat pracowali naukowcy z Royal Perth Hospital w Australii – zrewolucjonizuje gastrologię.



Prof. Stanisław Konturek szczyti się tytułami doktora h.c. kilku uczelni

– Panie profesorze, chyba popełniłam gafę... – tak witam się z prof. Stanisławem Konturkiem w jego zatłoczonym księżkarni gabinecie, przy ul. Grzegórzeckiej 16. I prawie od drzwi gęsto się tłumaczę: – ...bo panu przypisałam informację o tym, że już 130 lat temu pierwszy raz na bakterię – zwaną dziś *Helicobacter pylori* – trafił Polak, nie Australijczyk. Tak

powiedziałam radio słuchaczom SBS...

– Znakomicie! Ja wszędzie mówię o Walerym Jaworskim z Jagiellońskiej Wszechnicy – te słowa profesora uspokajają mnie. Na jego prośbę podchodzę też do portretu zawieszono go tuż nad biurkiem, patrząc na mężczyznę dostojnie usadzonego przy mikroskopie. – Tak, to ja... odkryłem tego odkrywcę – słyszę objaśnienie. Tajemniczy uśmiech jest jego dopełnieniem.

Opowieść o polskim tropie *H. pylori* jest zaskakująca. Jej początek przypada na czas, gdy Konturek – na prośbę prof. Andrzeja Szczeklika, wówczas jeszcze rektora AM im. Kopernika w Krakowie – zaczął pełnić funkcję prorektora, a potem

i dziekana Wydziału Lekarskiego (już!) CM UJ; Zakład Historii Medycyny był dobrze wyposażony w książki, korzystał z nich. Raz sięgnął po pracę Jaworskiego z 1896 roku poświęconą „Chorobom żołądka”. Wczytując się w nią, dostrzegł rysunek poskręcanej spiralnie bakterii, która – jako żywo – wy gładem przypominała *Helicobacter pylori*! To *Vibrio rugula* – przeczytał pod ryciną bakterii, którą Walery Jaworski dostrzegł pod mikroskopem w osadzie płynu pobieranego z żołądka do badań od ludzi chorych na wrzody i raki tego narządu. Eureka!? Z książką pod pachę pognął do mikrobiologów. Ci potwierdzili: – Tak, to ta sama bakteria...

– Opowiedział pan tę historię Marshallowi i Warrenowi? – pytam. – Oczywiście! Ale znali ją i z prestiżowej publikacji cenionego w świecie badacza historii gastroenterologii, prof. Irvina Modlina. Tego autora bowiem na tyle zaciekałem odkryciem Polaka, że specjalnie przyleciał z New Haven (USA) do Krakowa, zapoznał się z badaniami poczynionymi przed laty, porównał wygląd wyrysowanej bakterii (mikroskopy w tamtym czasie nie rejestrowały obrazu) do *Helicobacter pylori* – i wszystko to obfotografował, opisał. Ba, w jego niedawno wznowionej książce znalazłem już zamieszczony portret Jaworskiego! Tuż przy ramce tego portretu, w kółeczku, został umieszczony też wizerunek bakterii!

– opowiada profesor. I podsuwa mi do obejrzenia opasły tom historii Modlina, w której jest skopiowany z książki Jaworskiego rysunek bakterii.

DOBRA RADA

Helicobacter pylori w zawodowym życiu profesora zajmuje tak ważne miejsce, że ukuł żart: „Wyssałem go z mlekiem matki”. Ale nie, nie wyssał. Nie „zainfekował” się nawet w czasie pierwszego spotkania z nobliwym patologiem, Worrenem i młodszym od siebie o ponad 30 lat Marshalllem; Australijczycy podczas międzynarodowego sympozjum w USA, pod koniec lat 70. – na którym Konturek referował mechanizm działania gastroenterologicznego soli bizmutu – zapytali go, czy oby nie działa ona bakteriobójczo? – Nie wiedziałem – wspomina. – Bada nia robiłem na szczurach, a takiej bakterii w ogóle nie znałem. Marshall jednak upie rał się: – W każdym przypadku wykrycia u ludzi wrzodów stwierdzam obecność bakterii, którą nazywam *Campylobacter*. No, jeśli tak...

Profesor zadumał się. A w rok później powiedział Marshallowi (któremu mało kto wierzył w sensacyjną wiadomość, „Gastroenterology” odrzucało publikacje na temat nowo odkrytej w żołądku bakterii a „Lancet” ledwie zamieścił o niej w 1983 roku dwie krótkie notatki): „Skoro pan się nadal upiera przy *Helicobakterze*, to niech pan spełni kolejne dwa warunki Kocha: wyhoduje bakterię na zewnątrz ludzkiego organizmu i dowiedzie, że jest ona chorobotwórcza”. Gdy Marshall zapytał: „jak dowieść?”, bez namysłu rzucił: „Najlepiej połączyć wyhodowane bakterie”. Już nie od Australijczyka a z publikacji dowiedział się, że tak rzeczywiście zrobił. Że zachorował. Że leczył się solami bizmutu, o których mówił mu, że mają w stosunku do śluzówki żołądka działanie „cytoprotekcyjne”. *Nota bene* i dziś te sole są stosowane w terapii – obok antybiotyków.

Australijscy nobliści kontaktowali się z Konturkiem wielokrotnie, Marshall opublikował z nim nawet wspólne prace. Profesor nie ukrywa też, że stworzenie w Krakowie pierwszej w Polsce pracowni-laboratorium – dzięki której szybko dawało się zbadać pacjenta oryginalną, nieinwazyjną metodą na obecność Hp – w jakimś stopniu było zainspirowane wymianą doświadczeń z Australijczykiem. Jednak sprostowanie i za-instalowanie w po mieszczeniach Instytutu Fizjologii CM UJ kosztownej aparatury (koreańska firma Medichems Helview, za namową profesora, po darowała uczelni trzy w pełni zautomatyzowane aparaty oparte na spektrometrii masowej, warte 300 tys. dolarów!) dyrektor Instytutu Fizjologii wzięł już na siebie. Tak jak i zorganizowanie zespołu badawczego z biochemikiem, dr. Władysławem Bielańskim na czele, który przeprowadzał na pacjentach test oddechowy z użyciem kapsułki z zawartością mocznika znakowanego nieradioaktywnym węglem 13-Co. Na marginesie – z dziennikarskiego obowiązku dodam, że pracownia została zamknięta po dwóch latach działania – ku wielkiemu ubolewaniu profesora...



Portret w portrecie: prof. Stanisław Konturek, w tle prof. Walery Jaworski

Wpływ *Helicobacter pylori* na rozwój wrzodów dwunastnicy i żołądka a może i raka – tak można określić wieloletnie naukowe zaciekawienia i eksperymenty przeprowadzane przez profesora. Ale nie tylko one wypełniały ponadpółwieczną działalność fizjologa, który wiedzę wzbogacał (ale też przekazywał innym) na uniwersytetach i w klinikach: Los Angeles, Nowego Jorku, Gelweston, Columbii, Houston, Rochester, San Francisco, Liverpoolu, Munster, Erlangen, Londynu itd. Główne kierunki badań – mówiąc w największym skrócie – skupiały się wokół ciągu zmian, jakie zachodzą w przewodzie pokarmowym, a szczególnie w błonie śluzowej żołądka (m.in. kontrola wydzielania żołądkowego, wątrobowego, jelitowego i trzustkowego, motoryki żołądkowo-jelitowej), wokół mechanizmów zapobiegających ostrym uszkodzeniom przewodu pokarmowego oraz patomechanizmów raka jelita grubego. Ich wynikiem było (jest!) nowe spojrzenie i wyjaśnienie wielu zjawisk, dotychczas medycynie nieznanych – co zresztą znajduje odzwierciedlenie w oryginalnych pracach zamieszczanych w specjalistycznym piśmiennictwie, głów nie z zakresu gastroenterologii i fizjologii trawienia. Także w licznych książkach. I w skryptach, pisanych z myślą o stu dentach.

Profesor – czego sam nie ukrywa – oprócz pasji naukowej, umiejętności łączenia badań klinicznych z teorią, miał też w życiu fart. Na zawodowej drodze spotykał ludzi, którzy dostrzegali w nim coś więcej niż przeciętnego studenta czy me dyka. I tak właściwie było od początku, od dyplomu *Cum Laude* uzyskanego na Wydziale Lekarskim AM w Krakowie w 1955 roku. A może wcześniej? Na II roku studiów przyszło mu przecież zdawać egzamin u prof. Jerzego Kaulbersza, który nie dość, że od razu zatrudnił studenta w charakterze asystenta w Katedrze Fizjologii AM, to później również pomógł mu w wyjeździe na staż do Los Angeles.

– Zanim jednak tam dojechałem, wcześniej znalazłem się w Holandii. W Leyden w 1963 roku odbywał się międzynarodowy kongres fizjologiczny, tam wygłosiłem pierwszy w moim życiu (po angielsku) referat o kontroli wydzielania żołądkowego. Ten referat zaintrygował dr. Grossmana, wówczas guru gastroenterologów w USA. Profesor pogratulował mi oryginalnej pracy i zaprosił do swojego ośrodka w Los Angeles. Pełne zaskoczenie! Wiedziałem przecież, jak trudno Amerykanom dostać się do jego „Mekki”, a co dopiero człowiekowi „skażonemu komuną” zza „żelaznej kurtyny”! Wtedy akurat pojawił się Kaulbersz, jak się okazało znajomy Mortona Grossmana z okresu wojny i tak powiedział: „Weź go, on (czyli ja) jest bardzo obiecującym naukowcem”. Do mnie zaś skierował takie słowa: „Tylko u niego możesz nauczyć się nowoczesnej fizjologii trawienia”.

Zaproszenie do USA to jedno – wyjazd, to zupełnie inna bajka! Rok 1964 w Polsce nie sprzyjał przekraczaniu granic. Do jakichkolwiek drzwi Konturek zapukał z prośbą o paszport, wszędzie słyszał – niemożliwe. Dopiero minister Kostrzewski, do którego

dotarł za pośrednictwem prof. Claire-Dąbrowskiej (Szkotki zamężnej w Polsce, znakomitej nauczycielki języka angielskiego, która początkowo pomagała mu w poprawianiu prac naukowych) spo wodował, że niemożliwe stało się możliwe. „Batorym” dopłynął do Ameryki. Potem dotarł – jako jeden z pierwszych po wojnie *postdoctoral fellow* National Institute of Health, Bethesda – do Zakładu Fizjologii Układu Trawiennego prowadzonego przez dr. M. I. Grossmana w Yeterans Administration Center.

W MEKCE GASTROENTEROLOGÓW

Gdy Konturek zawitał do Ameryki, miał 31 lat. I dużo zapła do pracy. Prowadził więc badania, publikował ich wyniki. W „Gastroenterology” – najbardziej prestiżowym piśmie fizjologów – ukazały się jego wcześniejsze prace napisane wspólnie z prof. Kaulberszem. I te napisane już samodzielnie – na temat dystrybucji w jelitach i hamującego działania enterogastronu i urogastronu. Ważne, profesor był pierwszym Polakiem, który trafił z publikacją na łamy cenionego w świecie pisma. Dziś jest konsultantem w jego Radzie Redakcyjnej. – *I wdarłem się na skałę pięknej Kaliope, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy* – te słowa, powtórzone za J. Kochanowskim, mają uzmysłwić, czym dla kariery profesora był ów debiut. – Później opublikowałem w „Gastroenterology” jeszcze 33 prace – takie dopełnienie usłyszę do wyrecytowanego fragmentu wiersza.

Badania, publikacje – to jednak nie wszystko. Egzamin nostryfikacyjny (ECFMG) ukoronował półtoraroczny pobyt młodego naukowca za Oceanem. Zdobyl uprawnień lekarskie, które i tam pozwalały mu leczyć chorych. – Miałem wszędzie drzwi otwarte, było mi jak w raj... a jednak nie chciałem przedłużyć zać pobytu w Ameryce. Do stałem więc z National Institute of Health grant podoktorski w wysokości 50 tysięcy dolarów i wróciłem do kraju, do Kliniki Chorób Wewnętrznych AM kierowanej przez Leona Tochowicza, profesora który jeszcze przed wyjazdem znalazł dla mnie etat... techniczny – mówi Konturek. Choć wcale nie ukrywa, że dr Grossman wysłał mu dość szybko kolejne za prośenie. Ba, nawet bez najmniejszych problemów przyznano mu na jego podstawie stałą wizę – co na tamte czasy graniczyło z cudem. Ta wiza zresztą przysporzyła mu kłopotu – była odbierana jednoznacznie: „Konturek wyjedzie na zawsze” – szeptano tak, by wszyscy słyszeli...

– I co?

– Od 1965 nie mogłem wyjeżdżać z kraju, zadbali o to towarzysze, do których partii nigdy nie przystąpiłem. W 1968 pozwolono mi jednak pojechać na kongres gastroenterologów do Pragi. Wtedy zacząłem kombinować: „a może przemieścić się dalej, choćby do Jugosławii a potem do Ameryki?” Kombinowałem i dotarłem na początek do Belgradu, tam w ambasadzie wyprosiłem o pozwolenie na podróż do Austrii, skąd droga byłaby już wolna. Rzec w tym, że w hotelu, w oczekiwaniu na samolot, zmieniłem plany. „Nie tędy ma prowadzić ta droga” – pomyślałem. I wróciłem do domu, do żony, do syna Jasia. Do pracy w Polsce.

MEŃCZYŃNA Z OBRAZU CHEŁMOŃSKIEGO

Decyzja była trafna. Okazała się również intratna. Nie dość, że szybko - za sprawą prof. Oszackiego - powierzono Konturkowi kierowanie (po doc. Wincentym Wciśle) Instytutem Fizjologii i Zakładem Fizjologii Klinicznej AM, to od tego czasu przestał też mieć problemy z zagranicznymi wyjazdami.

Dobra atmosfera w Instytucie sprzyjała jego rozwojowi. Wysoki - jak na owe czasy - grant, który przyznano Konturkowi w USA, pozwolił wyprowadzić z biedy także placówkę naukowo-badawczą, wyposażyć w nowoczesną aparaturę badawczą. Profesor robił wszystko, by Instytut współpracował z klinikami chirurgicznymi, by te dostarczały materiałów do badań np. chorych na chorobę wrzodową, raka żołądka, zapalenie trzustki, jelita grubego itd. Jego *idée fixe* było bo wiem zintegrowanie nauk podstawowych z klinicznymi oraz stworzenie w Polsce dobrej szkoły doświadczalnej fizjologii gastroenterologicznej. Przygotowywał dla niej kadre specjalistów - na długiej liście wychowanków jest 5 profesorów, 10 doktorów habilitowanych, 40 doktorów medycyny i wielu, wielu lekarzy.

- I pomyśleć, że w dzieciństwie marzył pan o zostaniu księdzem! - nie mogą sobie darować takiego wtrącenia.

- Mama tego chciała, od piątego roku życia służyłem do mszy świętej, recyto wałem teksty łacińskie i bardzo to lubiłem - profesor te słowa podkreśla z mocą, póź niej wpada w zadumę. Dłuższe milczenie, być może, wywołał ulubiony obraz Józefa Chełmońskiego? Ten obraz, to portret chłopca o wyrazistej twarzy, w czarnym kapeluszu ze



Uczony z fantazją

spokiem zboża na głowie - a w tle orne pola, konie, wieś...

Człowiek i Natura. Tak, to dzieło znanego malarza ma odniesienie do jego szczenięcych lat. Do biednego, ale i sielskiego życia w małym miasteczku, jakim był Zakliczyn. Tam bowiem urodził się w 1931 roku. Tam razem z siedmiorgiem rodzeństwa; braćmi i siostrami ganiał boso po pastwiskach, ścierniskach i lasach, tam godzinami obserwowwał flisaków spławiających drewno Dunajcem, a sam często z rwącej rzeki wyławiał co okazalsze szczupaki i „na ręce” łapał pstrągi; raz udał się małym Stasiowi wyłowić dużego, aż 7-kilowego łososa, który z Północnego Atlantyku płynął dzielnie do tarła, do Łososiny.

- Do czternastego roku życia nie czytałem książek, bom pasł krowy, kosił żyto, mielił mąkę w domowych żarnach, aby mama mogła nam upiec chleb. Pomagałem, jak mogłem, w gospodarstwie. Lekcję ciężkiej pracy fizycznej mam za sobą... - tak zaczyna opowieść o swojej przeszłości człowiek, który dziś zasiada w licznych międzynarodowych towarzystwach naukowych, jest członkiem PAN i PAU, szczyści się tytułami doktora *honoris causa* kilku uczelni, ma na swym koncie Nagrodę Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej zwaną „polskim Noblem” oraz Nagrodę im. A. Jurzykowskiego. Także „Laur Jagielloński”, najwyższe uznanie ze strony Uniwersytetu Jagiellońskiego. I jeszcze liczne odznaczenia państwowe łącznie z Krzyżem Oficerskim RP.

– Kiedy pan zmienił zdanie i zamiast do seminarium poszedł na medycynę? – dociekam nadal.

– Biologia mnie pochłonęła, seminarium oddaliłem na dalszy plan...

Lakoniczna odpowiedź ma jednak ciąg dalszy. Profesor uru chamia pamięć. Odwołuje się do lat, kiedy prosił ojca – szewca z zawodu – aby zdecydował się posłać go do gimnazjum. Tak się bowiem złożyło, że oo. franciszkanie w Zakliczynie dali lokum w jednym ze skrzydeł swego zabytkowego, siedemna stowiecznego klasztoru dla nowo powstałej szkoły. Znaleźli też nauczycieli. Profesorów, którzy schronili się w czasie II wojny w okolicach Zakliczyna i nawet prowadzili tam tajne nauczanie – mimo niemieckiej okupacji.

„Oficjalnie otwarte w 1945 roku prywatne gimnazjum dawało ubogiej młodzieży szansę na naukę, więc skwapliwie z tego skorzystałem” – to są słowa Stanisława Konturka, o którym kilkadziesiąt lat temu nauczyciel historii matce na wywiadówce tak powiedział: „Syn jest bardzo zdolny, zróbcie coś, żeby poszedł na studia”. Potem jeszcze ów nauczyciel zadbał, aby uczeń został zwolniony z opłat za pobieraną naukę. Nauka w Zakliczynie trwała trzy lata. Gimnazjum rozwiązano. Ojciec Stanisława podjął decyzję: „Pojedziesz się uczyć dalej do Tarnowa”. Pogadał z krewnym, co miał konia, wsa dził na wóz siennik wypchany słomą, kartofle, mąkę i o 3 rano wyprawił syna na piechotę do swojej siostry, która właśnie w tym mieście mieszkała...

Ciotka dała chłopakowi pokój, ale pilnowała, aby było w nim sterylne czyste, aby wypastowane buty zawsze były równo postawione. To się młodzianowi nie podobało. Przeprowadził się do Internatu św. Józefa, który podlegał księdzu biskupowi. I tu właśnie zaczął się jego dylemat: seminarium czy medycyna? Biologia jednakże interesowała go bardziej. Fizjologia wciągnęła go po uszy! Wysokie oceny i napis na dyplomie: „Przodownik nauki i pracy społecznej” upoważniał zaś do podjęcia studiów – bez egzaminów wstępnych! – na dowolnie wybranej uczelni.

– Zaniósłem dokumenty na Akademię Medyczną w Krakowie, postanowiłem być lekarzem. Po dyplomie chciałem wrócić na prowincję i pracować jak doktor Judym – mówi.

Złożył świadectwo maturalne, ale na drugi dzień wezwał go na uczelnię. Mimo celujących ocen kazano zdawać egzamin. Komuś bowiem nie spodobało się, że kandydat na lekarza ma pochodzenie drobnomieszczańskie (Zakliczyn), i że jest klerykałem. Owszem, nigdy i nigdzie nie ukrywał, że jest wierzący, ale nie potrafił też ukryć swego oburzenia. Powiedział: „Dobrze, będę zdawał – ale napiszę skargę do ministerstwa”. Reakcja w dziekanacie była błyskawiczna. Otrzymał indeks Wydziału Lekarskiego. I był z tego powodu naprawdę szczęśliwy...

Leczył ludzi krótko. W latach 60., przed wyjazdem do USA, miał nawet prywatną praktykę. I sporo pacjentów. Tak dużo, że szybko stanął przed kolejnym rozstrzygnięciem: albo leczenie – albo praca naukowa. Wybrał to drugie. I nie żałuje.

Pokój, w którym profesor obecnie pracuje („Do późnych godzin wieczornych, czasem nocnych. Bo dzięki Bogu 2–3 godziny snu mi wystarczają, wstaję rześki, robię gimnastykę i siadam do komputera”), jest teraz znacznie mniejszy od dyrektorskiego gabinetu. Ten opuścił w 2003 roku, gdy nadeszły lata wyznaczające czas emerytury.

Emerytura nie uwolniła go jednak od laptopa. Ani od przeglądania stosu książek złożonych na biurku, przy którym zasiada codziennie. Słowo „urlop” w tym pomieszczeniu, podobnie jak w życiu prywatnym naukowca, jest nieobecne. Czy zapał do pracy, upór w dążeniu do wyznaczonego celu czerpie z patrzenia na portrety uczonych, którymi ozdobił niemal całe ściany? Obok wizerunku prof. Jaworskiego wisi tu przecież podobizna prof. Napoleona Cybulskiego – najwybitniejszego fizjologa przełomu XIX i XX wieku, odkrywcy adrenaliny. Jest też prof. Leon Popielski

– farmakolog, który zajmując się mechanizmem mi wydzielnymi żołądka zauważył szczególny udział histaminy w pobudzaniu tego wydzielania. Jest prof. Kaulbersz, jest prof. Grossman...

– ... ale nie ma portretu babci! – tym wtrąceniem usiłuję zasugerować profesorowi, że wiem co nieco o jego kolekcji obrazów. Zatem wiem i o babci, którą namalował Jacek Malczewski.

– Och, opowieść o moim dziadku z Lusławic, cieśli, który budował dworek dla Malczewskiego (dziś rezydują w nim Pendereccy) i o ukochanej babci, to cała historia...

Historia jest frapująca. Mnie zaciekawił zwłaszcza ten jej fragment, który dotyczy pozowania babci panu Malczewskiemu w czasie, gdy zamieszkała już w dworku. Efekt tego pozowania, mówiąc krótko, został uwieczniony na płótnie. Z tym, że babcia... nie chciała mieć obrazu w swoim domu! Niby dlaczego ma patrzeć na starą kobietę z siwymi włosami, skoro wcale tak nie wygląda? Włosy na wszelki wypadek posmarowała szuwaksem a portret (z całą pewnością nie wiedziała, że przyszłego Mistrza) podarowała krewnemu księdzu. Po jakimś czasie ksiądz awan sował na rektora Seminarium Krakowskiego dla kleryków i spod Zakliczyna wyjechał...

– Zachodzę kiedyś do księdza pod Wawel, na Kanoniczną (popro sił mnie, abym otaczał opieką medyczną kleryków, bo w latach 60. nie mieli oni ubezpieczenia), patrzę, oczy ze zdziwienia przecieram, znów patrzę. I co widzę?! Babcię Knapikową na obrazie wiszącym na ścianie! „Skąd ona tutaj?” – pytam. Ksiądz opowiedział, jak do niego trafiła. I od razu powziął decyzję, aby do mnie powróciła...



Prof. Konturek ze studentami na Nosalu

ZAWAŁ

Szkicując portret Stanisława Konturka pomyślałam: wielki uczony – bez cienia wątpliwości. Ale nie mogę przecież ukrywać, że wiele osób postrzega go jako człowieka kontrowersyjnego. Nie spodobało się kiedyś np. Towarzystwu Opieki nad Zwierzętami ani prasie jego wykorzystywanie zwierząt do celów doświadczalnych – nad głową profesora przeszła burza rażąca piorunami. Studenci jak ognia bali się sprawdzianu wiedzy z fizjologii – u wielu z nich miał opinie „piły”. Kilku kolegom naraził się bezpardonowym wypowiedzianiem swych opinii, ocen na temat ich zawodowej pracy czy naukowego dorobku. Znaleźli się wreszcie ludzie, którzy mieli mu za złe, że chciał zarabiać pieniądze...

– Bez pieniędzy nie ma medycyny, nie ma leczenia, nie ma uczenia – takim kategorycznym stwierdzeniem profesor rozpoczął kolejny wątek rozmowy.

Pieniądze to rzecz, o której jeszcze parę lat temu w polskich uczelniach mówiło się po cichu, nawet ze wstydem. Konturek nie miał jednak takich oporów. Głośno i wszędzie rozprawił o zdobywaniu dla CM UJ pieniędzy. Ba, słowa w czyn zamienił. Gdy był dziekanem Wydziału Lekarskiego, zainicjował pierwsze w kraju odpłatne studia na Wydziale Lekarskim. Najpierw była to „Szkoła Medyczna dla Obcokrajowców”, do której przyjeżdżali studenci amerykańscy i norwescy, dobrze płacąc za naukę (Konturek tę naukę rozpoczął z siedmioma studentami – obecnie kształci się tu 300 osób). Później doszło jeszcze kształcenie tych abiturientów naszych liceów, którym zabrakło punktów na egzaminie wstępnym a chcieli (i stać ich było) uczyć się – choćby systemem tzw. wieczorowego kształcenia. Jeszcze i lekarzom dał szansę – każdy kto miał dobre oceny na dyplomie ukończenia studiów, mógł skorzystać z odpłatnych studiów doktoranckich.

– Wcale nie łatwo było przekonywać do tych biznesowych pomysłów. Stawiano mi różne zarzuty. Niektóre ciężko było przetrwać. No, ale to już przeszłość, nie chcę do niej wracać... – profesor ucina wątek. Z szuflady wyciąga opasy album. Zebrane tam fotografie, to jakby zapis jego życiowych podróży. Dowód, że poznał kawał świata, że uczestniczył w setkach międzynarodowych kongresów i sympozjów najwyższej rangi; kilka zdjęć pokazuje go w towarzystwie osób uhonorowanych Nagrodami Nobla...

Album wraca do szuflady. Na stole pojawiają się pojedyncze zdjęcia. Jakże inne od tych, które dopiero co oglądałam! Na jednym profesor w góralskiej chacie wywija w tańcu z dziewczynami. Na innych jest na Nosalu – zjeżdża na nartach slalomem z góry wraz z grupą studentów. Na jeszcze innych – ulicą miasta pedałuje na rowerze. Na innych – jedzie po wyboistej drodze swoją ruską terenową Lada.

– Po zawale serca zmieniłem tryb życia – to komentarz do tych fotografii.

– Lekarze pozwalają na tak forsowny tryb życia?

– A co, ja nie jestem lekarzem?! Postanowiłem sobie wytworzyć krążenie oboczne w sercu, a to można osiągnąć tylko przez wysiłek fizyczny, i być... niezależnym od kardiologów – śmiech profesora poprzedza uwagę: – Dobrze, że nie słyszy tego, co pani mówię mój kardiolog, doc. Pieniążek, który na wszelki wypadek na zawodach rowerowych jechał za mną w karetkce.

Nie stawiam już pytań o zdrowie, bo wiem że profesor nie znosi się leczyć, nie uznaje też lekarstw – poza aspiryną. Zamieniam się w słuch. Słucham anegdot, które posiwiały pan opowiada z werwą. Zapamiętuję taką: „Portier nie chciał wpuścić przemoczonego do suchej nitki rowerzysty wraz z rowerem do nowego gmachu kształcącego stomatologów.

– Panie, spadaj pan z tym brudnym rowerem, bo zaraz tu przyjdzie prorektor Akademii z wizytą i co ja mu powiem?

– Poproszę o szmatę albo kawałek papieru, to powycieram koła. – Ależ panie, mówię żeby pan opuścił budynek a nie czyścił tu zabłocony rower.

– Ale ja zaraz muszę być u profesora Majewskiego! – pokornie objaśnia rowerzysta i gazetą zaczyna mozolnie wycierać te nieszczęsne koła. Nagle słyszy głos z półpiętra, ze schodów: „Witamy pana rektora, zapra szamy...”

– Cóż mi pozostało – puentuje anegdotę Konturek

– Uśmiechnąłem się przepraszająco do portiera, który zrobił się nagle błądy jak ściana...

W DOBOROWYM TOWARZYSTWIE

Są dni, kiedy nie sposób rozmawiać z profesorem. Mówi, że to wtedy, gdy wpada w depresję, gdy opanowuje go wirus smutku. Tę swoją melancholię już nawet polubił. Daje organizmowi wytchnienie – bo wyhamowuje pracę, każe unikać ludzi, zostawia go sam na sam ze swoimi myślami. Gdy jednak depresja przemija – rzuca się w wir pracy ze zdwojoną siłą, jest znów towarzyski, dowcipny, szarmancki, czasem i zawiadacki.

– Przyjdzie pani na mój wykład do Towarzystwa Lekarskie go?

Sala posiedzeń w budynku, którego ozdobą są witraże projektu Wyspiańskiego, jest wypełniona. Są tam lekarze, są studenci medycyny. Profesor stremowany staje przed mikrofonem, włącza projektor. Na ekranie pojawia się... piękny bukiet kwiatów! „To dla państwa” – mówi. Zebrani biją brawa, pomysł przypadł do gustu. Spodobał się też medal, który wręcza prof. Gościńskiemu za dobre prezesowanie Krakowskim Towarzystwem Lekarskim. Na marginesie: Konturek uwielbia obdarowywać medalami kutymi na różne okazje! Sam zresztą je projektuje, sam zabiega o odlewy z różnych kruszców (złoto, srebro, brąz) – tylko ustalanie listy adresatów pozostawia od lat tej samej osobie; razu pewnego – a było to na scenie Teatru im. Słowackiego, podczas międzynarodowego kongresu – zdarzyło się, że przy kolejnym obdarowywanym człowieku medali profesorowi zabrakło. Nie, wcale się tym nie spieszył! „Zosiu, odbierz tym, którzy już dostali, damy nowym – a potem wszystko uzupełnimy” – tak zarządził. I tak się stało.

Kwiaty, medale – a potem już wszyscy słuchają, jak prelegent opowiada o noblistach XX i XXI wieku z dziedziny medycyny. O ich pracach, które tak wysoko oceniono. Wśród wymienianych laureatów Nagrody Nobla doliczam się pięciu, których profesor poznał osobiście, wymieniał z nimi poglądy, dzielił się doświadczeniami. Jest to Jim Black, Stanley Cohen, Andrew Schally. I oczywiście Marshal wraz z Worrenem. O odkryciu tych ostatnich mówi oczywiście najwięcej. Pewnie dlatego, że wciąż mu sen z powiek spędza problem związany z *Helicobacter pylori*: czy ma ta bakteria wpływ na rozwój raka żołądka i jelita grubego, czy też nie ma? Badania trwają. Odpowiedź przyniesie czas...

– „Wiedza daje pokorę wielkiemu, dziwi przeciętnego, nadyma małego” – to słowa Tołstoja. Ale czy ten aforyzm nie pasuje do Konturka? – pyta mnie kobieta siedząca obok na spotkaniu w Towarzystwie Lekarskim. Tymczasem ja patrzę na roziskrzzone oczy profesora, widzę w nich pasję, z jaką ponad dwie godziny opowiada o nauce i myślę – on rzeczywiście wspiął się wysoko na te ośnieżone szczyty z ulubionego pla katu, który pokazał w swoim gabinecie. Co wtedy profesor mi mówił? Zanotowa-

łam jedynie: *Do not investigate non-existing phenomena* („Nie badaj nie istniejących zjawisk”); *Frustra vivit qui nemini prodest* („Darmo żyje ten, który nikomu nie pomaga”). Również i to: „Jeśli kolejne wyniki badań nie potwierdzają wcześniejszych i opartej na nich hipotezy, to szybko przejdź nad nimi do porządku dziennego, pozostaw je do weryfikacji innym”.

Teresa Bętkowska



PRO CULTURA HUNGARICA

Dr Etelka Kamocki, długoletni, od kilku lat już emerytowany pracownik i nauczyciel akademicki w Katedrze Filologii Węgierskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego 19 maja 2006 roku otrzymała odznaczenie *Pro Cultura Hungarica*. To szczególne wyróżnienie przyznawane jest Węgrom żyjącym poza granicami kraju w uznaniu szczególnych za służbę w upowszechnianiu kultury węgierskiej oraz za osiągnięcia w rozwoju i wzbogacaniu kontaktów kulturalnych pomiędzy narodem węgierskim i innymi narodami.

W imieniu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Węgier, w obecności konsula generalnego Republiki Węgierskiej w Krakowie Zoltana Nagyiványiego i jego małżonki, odznaczenie wręczyli: dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie Istvan Gordon oraz jego zastępca Krisztina Jerger.

Długa jest lista zasług dr Etelki Kamocki w upowszechnianiu kultury węgierskiej wśród innych narodów. Wymienię więc tylko te najważniejsze. Jest absolwentką wielce zasłużonego dla nauki i kultury węgierskiej Uniwersytetu im. Attily Józsefa w Szegedzie. Tam też obroniła pracę doktorską i stamtąd wyruszyła krzewić kulturę, literaturę, historię i gramatykę pośród innych narodów Europy. I tak najpierw trafiła do uniwersytetu w Getyndze, gdzie pracowała jako lektor języka węgierskiego, a następnie, do Krakowa, z którym związała także swe osobiste losy. Tu pracowała jako lektor języka węgierskiego, prowadząc zajęcia dla studentów turkologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wielu studentów z tamtych lat utrzymuje z nią kontakty do dziś, a jak się okazało podczas uroczystości odznaczenia, na obecnym drugim roku hungarystyki jest studentka, której mamę wówczas uczyła.

Kolejnym etapem w życiu dr Etelki Kamocki była współpraca z krakowskim Wydawnictwem Literackim, w którym pełniła

funkcję redaktora i kierownika redakcji. To właśnie wówczas wyszło z Wydawnictwa wiele przekładów dzieł literatury węgierskiej, której była nie tylko redaktorem, ale i rzecznikiem. Wtedy też uczyła języka węgierskiego na kursach prowadzonych przez krakowski EMPiK.

Rok 1989 stanowił cezurę za równo w dziejach hungarystyki

w Polsce, jak i w życiu dr Etelki Kamocki. Ziściło się wówczas marzenie wielu Węgrów i Polaków, dla których Kraków był od wieków symbolem polsko-węgierskich związków historycznych i kulturalnych i powołano do życia Katedrę Filologii Węgierskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, której kierownikiem został prof. Stanisław Stachowski. Dr Etelka Kamocki od początku istnienia Katedry związała z nią swój los. Wykładała w zasadzie większość przedmiotów sama, bowiem na początku było tylko dwóch wykładowców. Wspominała niedawno, że na początku miała ponad 30 godzin zajęć tygodniowo. Uczyła gramatyki opisowej i historycznej, a także literatury węgierskiej oraz dialektologii. Podsumowując swoją 12-letnią pracę w Katedrze, doli-



Dr Etelka Kamocki z odznaczeniem. Medal wykonany jest z brązu. Na awersie znajduje się postać siewcy, stojącego w pełnym słońcu na tle węgierskiego krajobrazu. Na rewersie jest napis: PRO CULTURA HUNGARICA, który okala wieniec laurowy.

w Katedrze Filologii Węgierskiej.

W uroczystości odznaczenia dr Etelki Kamocki medalem *Pro Cultura Hungarica*, którą zorganizowano w jednej z krakowskich restauracji, oprócz gości oficjalnych udział wzięli pracownicy Katedry, na czele z obecnym jej kierownikiem prof. László Kálmánem Nagyem oraz studenci, których ona sama na żywo swoimi dziećmi. I to oni, gratulując odznaczenia, życzyli jej, a jeszcze bardziej sobie, częstszych spotkań.

Małgorzata Stós